TEKA POMORSKA

KWARTALNIK REGIONALNY
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
KULTURY I SZTUKI

NR. 1 TORUŃ, WIOSNA 1936 ROK I



Bolesław Zaremba *Toruń — Stare Miasto*

TEKA POMORSKA

KWARTALNIK REGJONALNY

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM KULTURY I SZTUKI
ORGAN KONFRATERNI ARTYSTÓW W TORUNIU

NR. 1 TORUŃ, WIOSNA 1936 ROK I.

OD REDAKCJI

Oddając do rąk Czytelników ten pierwszy zeszyt nowego pisma, pragnęlibyśmy podzielić się zarazem kilkoma myślami, które nasuwają się nam w tej chwili, — powiedzieć, jakiemi intencjami kierowaliśmy się, gdyśmy przystępowali do prac przygotowawczych.

Więc najpierw parę faktów: Pomorze, dzielnica o zgórą miljonowej ludności, stosunkowo zamożna i dobrze zagospodarowana, nie zdobyła się dotąd na pismo o szerszym zakresie regjonalnym. Dotychczasowe próby zacieśniły się bądź do jednego tylko, ściślejszego regjonu, bądź też były związane z bytem lub niebytem pism codziennych.

„Teka Pomorska" będzie w tych warunkach pierwszem wogóle samodzielnem i na szerszych podstawach opartem literackiem pismem regjonalnem na Pomorzu. Ukazując się w Toruniu, jako stolicy Pomorza, nie będzie się zacieśniała do miejscowego grona literatów, lecz starać się będzie o to, by wszyscy, którzy mają zdolności ku temu, wypowiadali się na jej łamach o sprawach kulturalnych i artystycznych naszego regjonu z całą swobodą.

Jedynem kryterjum Redakcji będzie miara artystyczna i naukowa, wymaganie pewnego poziomu, który obowiązuje w obecnem stadjum rozwojowem naszej kultury. Pragniemy bowiem, by pismo nasze było wykładnikiem współczesnej twórczości literackiej na Pomorzu w jej najlepszych przejawach.

W tej myśli — wbrew konjunkturze niekorzystnej dla wszelkich poczynań, wybiegających poza ciasne ramy prostej walki o byt — rozpoczynamy pracę swą, ku pożytkowi Pomorza i szerszej Ojczyzny.

O TRADYCJI NAUKOWO-HISTORYCZNEJ NA POMORZU

Wcześnie obudził się na Pomorzu i na ziemiach krzyżackich zmysł historyczny, chęć i zamiar przekazania potomnym wiadomości dawnych i współczesnych o ziemi tutejszej i o losach jej mieszkańców. Czy za książąt pomorskich były choćby próby w tym kierunku, niewiadomo, ale w dalekich Inflantach już pod koniec 13-go wieku rymowana kronika wielbi pełne przygód boje krzyżackie z Prusakami i Polakami w naszej i sąsiednich dzielnicach. Na bliższym terenie powstają kroniki dopiero w 14-tym wieku. Prace Piotra Dusburga, Wiganda, Jana z Pozolji i innych są wprawdzie w pierwszym rzędzie heroldami czynów Zakonu Niemieckiego, zawierają jednakże mnogie i cenne wiadomości o losach tej ziemi, o wierzeniach, obyczajach i prawach, o charakterze, usposobieniu mieszkańców Pomorza, Prus i Polski. Pomimo licznych pomyłek i niedostatków powstałych z braku ustalonej, na dokumentach opartej tradycji historycznej i pomimo pewnej stronniczości są to przekazy ważne, bo bez nich bylibyśmy skazani na wiotkie domysły w sprawach dotyczących pierwotnych dziejów Pomorza i stosunku jego do Polski. Braki te usuwa w znacznej części metoda historyczna najnowszych czasów, umiejąca wydobyć prawdę z pod warstwy naleciałości i zużytecznić ją dla głębszego poznania naszej przeszłości.

Najdawniejsze te kroniki, główne źródło dostarczające danych do historji Pomorza i Ziem Krzyżackich, powstały w czasach największej potęgi Zakonu i jego przedewszystkiem służyły celom. Gdy jednakże wzrosła potęga miast, które ze szlachtą krajową złączyły się w Związku Pruskim, aby po trzynastoletniej wojnie zrzucić znienawidzone jarzmo krzyżackie i poddać się królowi polskiemu, powstały kroniki miejskie i krajowe, gdańskie, toruńskie i elbląskie, które z odmiennego punktu widzenia traktując przeszłość i współczesność są znakomitem dopełnieniem kronik krzyżackich. Pierwsze miejsce zajmują opracowania gdańskie, bo najdawniejsze i na pewniejszej, rozleglejszej podstawie archiwalnej oparte. Niestety późniejsze i pochodne kroniki rychło zostały ogłoszone drukiem, gdy tymczasem pierwotne zaginęły, lub zapomniane spoczęły w archiwach, co nie mogło wyjść na korzyść historjografji. Wszystkie te kroniki, zwłaszcza Szymona Grunau'a mają tę wielką wadę, że autorowie ich nie znają kryterjów naukowych, stąd — niekoniecznie w złym zamiarze — dowolnie kompilują, nawet zmyślają fakty, i tem samem nieprawdziwy przedstawiają obraz przeszłości. Obok wiadomości, co się wobec krytyki ostały niewzruszone są tam hipotezy, twory wyobraźn

co do liczb, nazwisk i faktów. Nie uświadomiano sobie pierwszorzędnego znaczenia dokumentów i podobnych im źródeł.

Gdy tedy w ciągu 15 i 16 wieku coraz więcej nagromadziło się tandety historycznej i sprzeczności i dowolności stały się już zbyt jaskrawemi, poważniejsi obrabiacze dziejów przychodzili do przekonania, że należy koniecznie wrócić do pierwotnych kronik, akt, dokumentów, aby móc stanąć na silnym, niewzruszonym fundamencie historycznym. Najwybitniejszym przedstawicielem tego kierunku był w wieku XVI. Kaspar Schütz, sekretarz gdański, w swojej »Historia rerum Prussicarum« do r. 1595 sięgającej. I on niezawsze umie odróżnić prawdę od fałszu, ale wszedłszy na drogę źródłowych badań znacznie się zbliża do krytyki naukowej.

Na przełomie 16 i 17 wieku zjawiają się na Pomorzu dwaj dziejopisarze: jezuita Fabjan Quadrantinus ze Starogardu, biograf Anny Austrjaczki, małżonki Zygmunta III, i Rejnhold Heidenstein, dziedzic Sulęcina pod Kartuzami, Polak pochodzenia niemieckiego, który także pisze o rzeczach bliskich, mianowicie o orężnych czynach i pokojowych dziełach Stefana Batorego. Tradycja już się nie przerywa, bo nieco później oficjał gdański Joachim Pastorjusz pisze całość dziejów polskich a Krzysztof Hartknoch, rodem z Mazowsza pruskiego, daje jednostronny coprawda ale dużo cennego materjału zawierający obraz dziejów kościelnych i politycznych Prus Polskich i Książęcych. Przygodnie imał się pióra starosta pucki Kazimierz Zawadzki, historyk sejmów za króla Michała i jako publicysta niestrudzony ma dużą zasługę, walcząc o wolny niezawisły od Gdańska port Rzeczypospolitej Polskiej na wybrzeżu polsko-bałtyckiem. Wszystkich poprzedników przewyższa wiedzą, pracowitością i ulepszoną metodą syndyk gdański Godfryd Lengnich, autor 9-tomowej Historji Prus Królewskich doprowadzonej do końca rządów Augusta II. Obrońca niezależności politycznej i gospodarczej miasta swego rodzinnego, separatysta, umie jednak pisać dosyć bezstronnie i beznamiętnie, przytaczając liczne dokumenty w całej rozciągłości, co czyni dzieło jego i dzisiejszemu badaczowi niezbędnem. Z Lengnichem porównano słusznie przeora kartuskiego Jerzego Schwengla, który w licznych foljantach z benedyktyńską iście pracowitością i drobiazgową akrybją złożył dokumenty i opracowania do historji swego zakonu, swego klasztoru i Kościoła na Pomorzu. Innych mniejszych kronikarzy lub historyków, np. toruńskich ciasne ramy szkicu wymienić nie pozwalają.

W 19-tym wieku był sztandarowym historykiem Prus pokrzyżackich Jan Voigt z Królewca, który pierwszy dla swego przedmiotu stosował u nas zasady ulepszonej metody polegającej na krytycznej ocenie źródeł historycznych. Ale i jego wielkie dzieło jeszcze nie jest ostatnim wyrazem techniki dziejopisarskiej, bo nie posiadało tajników rozróżnienia

dokumentów autentycznych od falsyfikatów. Tej sztuki głównymi przedstawicielami byli u nas Wojciech Kętrzyński, ks. Stanisław Kujot i Maks Perlbach. Do nich to nawiązują obok badaczy niemieckich, zrzeszonych w stowarzyszeniach gdańskiem i królewieckiem rodzimi polscy historycy, rozszerzający badania swoje z biegiem czasu na całą przeszłość dziejową oraz na pokrewne dziedziny, t. j. zwłaszcza prehistorję i historję Kościoła.

Początki tych polskich prac badawczych były bardzo skromne. Od r. 1850 »Katolik« chełmiński ogłasza obszerniejsze żywoty biskupów chełmińskich, Stanisław Węclewski omawia w sprawozdaniach gimnazjalnych chełmińskich późnohumanistyczną kulturę polską i zasługi Szymona Maricjusza w dziedzinie pedagogiki, Seemann pisze monografje kościołów chełmińskich, Łożyński poświęca jedną pracę dawnej akademji chełmińskiej, Maroński bada stosunki rodowe między Pomorzem a Piastową Polską. I to było dobrą wróżbą, że dwaj Pomorzanie, Kazimierz Szulc i ks. Franciszek Malinowski, byli 1857 r. głównymi założycielami Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Dalszym etapem był rok 1863. Gdy młode pokolenie z orężem w ręku spodziewało się zdobyć niepodległość, starszej generacji przyświecał ten sam cel, ale dążyło ono do niego drogą realnej pracy liczącej się z każdą zaborczą rzeczywistością. Organizacja sił ekonomicznych i społeczno-naukowych obejmowała także życie umysłowe. Wyrazem tych dążeń były po r. 1866 liczne poważne rozprawy i oceny dzieł naukowych, zwłaszcza historycznych pomieszczone w »Gazecie Toruńskiej« przez Wojciecha Kętrzyńskiego, Władysława Łebińskiego, Zygmunta Celichowskiego i innych. Pismo to było zwiastunem i długie lata poprzednikiem późniejszych toruńskich wydawnictw naukowych. Zamierzenia te doznawały pewnego wzmocnienia przez założone staraniem Ignacego Łyskowskiego »Towarzystwo popierania moralnych interesów ludności polskiej«, choć ono wówczas silnie akcentując potrzebę kultury moralnej i wogóle kultury ducha, nie wysuwało jeszcze na bliższy plan zagadnień naukowych.

Na początku lat siedemdziesiątych dwa doniosłe zdarzenia silnie popchnęły naprzód sprawę naukowości polskiej na Pomorzu.

Najprzód rugi resztek języka polskiego z życia publicznego i szkolnictwa. Społeczeństwo polskie wstrząśnięte do głębi uświadomiło sobie teraz bardziej, niż przedtem, że najdroższą po ojcach spuściznę, należy pielęgnować w słowie i piśmie, w literaturze ludowej, pięknej i naukowej, aby język z wyżyn dostojeństwa swego nie zeszedł zwolna do rzędu gwar ludowych. Godność jego i tradycja wymagała tego, by nietylko wobec ludu, ale i w areopagu uczonych należne sobie zajmował miejsce. Drugim niezmiernie ważnym faktem był jubileusz czterechsetlecia uro-

dzin Mikołaja Kopernika uroczyście obchodzony w Toruniu. Postać wielkiego astronoma, który pierwszy »wstrzymał słońce, ruszył ziemię«, ukazała potęgę genjuszu naukowego badacza w blaskach nieśmiertelności. Wrażenie święta narodowego było wielkie, utrwalała je »Gazeta Toruńska« ogłoszeniem materjałów naukowych oświetlających osobistość i działalność wielkiego Toruńczyka. Tym sposobem nauka w oczach społeczeństwa nietylko stała się przedmiotem wielkiego poszanowania i podziwu, ale urastała do znaczenia czynnika wysoce cywilizacyjnego i kulturalnego budzącego dumę narodową na wspomnienie o wielkim rodaku.

Nie było tedy rzeczą przypadku, że na międzynarodowym zjeździe archeologów w Kijowie Zygmunt Działowski mimo protestu czynników rządowych rosyjskich rzecz swą naukową wygłosił po polsku, że mecenasował pracom wykopaliskowym Godfryda Ossowskiego na terenie Pomorza i przygotowywał z nim wydanie wielkiej mapy archeologicznej wydanej w Paryżu, — że ks. Stanisław Kujot pierwszą swą większą monografję ogłosił o Pelplinie, a mniejsze prace z historji Pomorza pomieszczał w poznańskich czasopismach, że kilku młodych uczonych zabrało się do opracowania tematów historycznych z historji Pomorza i diecezji chełmińskiej, — że wreszcie Ignacy Łyskowski argumentami historycznemi i statystycznemi wykazał uprawnienia języka polskiego, a Wojciech Kętrzyński, zbrojny w energję i rozległą znajomość źródeł dziejowych królewieckich i gdańskich, ogłaszał po polsku i po niemiecku publikacje swoje historyczne.

Sił naukowych przybywało, plan zorganizowania badań regjonalnych dojrzewał. Światli Pomorzanie, zwłaszcza ci, którzy oddawna byli członkami Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, uważali, że czas nadszedł, by własny założyć ośrodek naukowy. W jesieni 1875 r. »Towarzystwo Moralnych Interesów« opowiedziało się za założeniem Towarzystwa Naukowego w Toruniu, a w grudniu na czele nowopowstałego zrzeszenia, któremu patronował prof. Adolf Pawiński z Warszawy, stanął Ignacy Łyskowski z Mileszew.

W pierwszych latach praca odbywała się bardzo pomyślnie. Fundator i mecenas nauk Zygmunt Działowski uposażył Towarzystwo w bibljotekę, obrazy, numizmaty i przedmioty muzealne, za jego przykładem składali ofiary i depozyty liczni przyjaciele nauki. „Roczników“ wyszło trzy, których główną wartość stanowią prace ks. Kujota. Na tyle tylko publikacyj pozwalały szczupłe zasoby Towarzystwa. Po za niem były jeszcze inne prace, mianowicie ks. Fankidejskiego monografje z historji diecezjalnej, ks. Frydrychowicza o historyku Heidensteinie i o Sobótce a przedewszystkiem Wojciecha Kętrzyńskiego dzieło o ludności polskiej w Prusiech niegdyś Krzyżackich, przynoszące nieoczekiwane wyniki o liczebnej, kulturalnej i politycznej sile Polaków na Ziemi chełmińskiej i na całym

obszarze Ziem Pruskich. Z tą pracą łączy się ściśle monografja Emila Sieniawskiego o biskupstwie warmińskiem, wykazująca jeszcze wnikliwiej i szczegółowiej silną penetrację żywiołu polskiego i jego pierwotność w Prusach jeszcze przed kolonizacją krzyżacką i biskupów warmińskich.

Umarli Działowski 1878 r. Łyskowski 1886 r., ubywali i inni gorący wielbiciele i dzielni pracownicy, nastąpił zastój, upadek; jedynym znakiem życia było czuwanie nad zbiorami. Praca badawcza jednak nie zupełnie ustawała. Obszerna praca ks. Kujota o sprawie toruńskiej 1724 r. ukazała się jednak w Poznaniu.

Po latach kilkunastu, w r. 1897 stanął na czele Towarzystwa ks. Stanisław Kujot, siła pierwszorzędna nietylko naukowo-badawcza ale i organizacyjna. Zmiana głęboka, zasadnicza. Odżyły „Roczniki“ a towarzyszyły im stale nieodstępne „Fontes“ (źródła dziejowe), przybyły od r. 1908 dla mniejszych prac i recenzyj „Zapiski“. Wysiłek licznych pracowników, także nie-Pomorzan wydał obfity plon. Historja polityczna, kościelna i szkolna, archeologja i ludoznawstwo, dzieje gospodarcze, wojskowe i piśmiennicze, kultura i sztuka, — wszystko to było i dotychczas jest przedmiotem uczonych badań i rozważań. A cel był godzien szlachetnych wysiłków. O cóż bowiem chodzi? O odkopanie polskości z pod warstwy obcej kultury, zbadanie bezstronne roli, jaką żywioł polski od najdawniejszych czasów na Pomorzu odgrywał, stwierdzenie jej dynamiki, rozgałęzień, znaczenia i skutków, aby tym sposobem wiernie odtworzyć obraz przeszłości. Doskonała metoda historyczna, subtelność i ścisłość badań, głęboka nauka i szeroka wiedza ks. Kujota dziś jeszcze przyświeca jako wzór współpracownikom i następcom jego. Trudno wszystkich wymienić, najwybitniejszych jednak, nieżyjących już, pominąć się nie godzi: X. Kazimierz Chmielecki, X. Władysław Chotkowski, X. Brunon Czapla, prof. Antoni Chudziński, X. Hieronim Gołębiewski, Wojciech Kętrzyński, Konstanty Kościński, Józef Łęgowski, X. Bolesław Makowski, XX. Gustaw i Wojciech Pobłoccy, Antoni Prochaska, Wincenty Łoś, hr. Adam Sierakowski.

Zgon ks. Kujota 1914 r. nie przerywa ciągłości pracy, hamują ją nieco wojna światowa i jej skutki, ale w niepodległej ojczyźnie ruch naukowy się wzmaga, zwłaszcza, gdy przychodzi do skutku złączenie bibljotek naukowych toruńskich w jedną wielką Książnicę im. Kopernika, która wybornie ułatwia pracownikom naukowym polskim i zagranicznym korzystanie ze skarbów tam nagromadzonych, i dogodniejsze teraz niż dawniej udostępnianie archiwum toruńskiego. Innem udogodnieniem i przyśpieszeniem tempa pracy i tętna naukowego jest podział pracy w poszczególnych wydziałach Tow. Naukowego w Toruniu: historyczno - archeologicznym, teologicznym i matematyczno-przyrodniczym.

Pokrewnym Towarzystwu Naukowemu celom, bo naukowo-propagandowym i wybiegającym znacznie poza granice Pomorza służy od lat sześciu toruński Instytut Bałtycki. I on pod ruchliwem, umiejętnem kierownictwem a uposażony w znacznie większe fundusze, rozwinął bardzo wydatną działalność wydawniczą, zespoliwszy do wspólnej pracy na terenie badań pomorsko-bałtyckich mnogich współpracowników z całej Polski. Oprócz tych gałęzi wiedzy, które uprawia Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Instytut pielęgnuje nauki przyrodnicze, morskie i pomorskie (w najszerszem słowa znaczeniu) oraz bada naukowo warunki i podstawy handlu zamorskiego i zagranicznego w przeszłości i teraźniejszości.

Na dzisiejszem Pomorzu zasłużył się dobrze nauce, zwłaszcza historycznej przez szereg lat ostatnich gdański tygodnik „Pomorze“, toruński „Mestwin“ oraz wydawnictwa Drukarni i Księgarni w Pelplinie.

Wszystkie te usiłowania są dowodem niepożytego ducha narodu, który pomimo zapór i przeszkód z wytrwałością iście pomorską realizuje zamierzenia kulturalno-naukowe dla dobra całej Polski.

X. Alfons Mańkowski

FLISACY NA POSTOJU W TORUNIU

Przeciągłe wołanie „G i i i b a a j“ rozległo się od strony Wisły, i pod starym mostem toruńskim przepłynęła wieloczłonowa tratwa, kierowana miarowym ruchem sterów. Ruch ten zwalniał stopniowo i nagle, jakby na bezdźwięczną komendę, tratwa wygięta w łuk prądem rzeki, znieruchomiała. Od jej brzegu odbiło czółno, i w takt wiosłując czwórka flisaków przepłynęła na brzeg toruński.

Taki obrazek zwykło się w Toruniu widywać od wieków. Zaledwie ruszyły lody, a wiosenny przybór wody stwarzał warunki odpowiednie dla spławu, Wisła zaroiła się tłumem różnorodnych statków, wśród których wężowym ruchem przesuwały się liczne tratwy.

Od Ulanowa nad Sanem i Kamieńczyka nad Bugiem szła brać flisacka na tratwy i statki wiślane, by w ciężkim trudzie spławiać drzewo i zboże polskie Wisłą przez Toruń do Gdańska. Podróż była długa, żmudna i uciążliwa, wymagała dokładnej znajomości nurtu wiślanego, jego zdradliwych wirów, przemiałów, mielizn.

Wierny obraz takiej podróży flisaczej daje staropolska książeczka, której autorem jest znany pisarz polski, Wielkopolanin Sebastjan Klonowicz. Na imię jej »Flis«, data urodzin rok 1595. Wówczas wydana

w Rakowie opatowskim doczekała się kilku wydań. Snać oryle, dla których była przeznaczona, chętnie ją czytywali. Wszak autor zapowiadał flisowi:

„Ukażęć drogę do Motławy prostą.
Będę u ciebie wodzem i starostą
Od Warszawskiego aż do Zielonego
Mostu Gdańskiego".

Lecz na tem nie dość. „Flis" miał też być dokładnym podręcznikiem krajoznawczym osobliwości nadwiślańskich:

„Mianujęć miasta, wsi, kępy, ostrowy.
I o rzekach dam ci rozsądek zdrowy,
Gdzie która wpada, gdzie którą w się dzika
Wisła połyka".

Autor wywiązuje się z tego zadania sumiennie, lecz, jak na nasze pojęcia, trochę sucho. Dopiero, kiedy z flisem szczęśliwie dociera do Torunia, opis jego nabiera barw i polotu poetyckiego. Oto kilka zwrotek z tego najpiękniejszego w literaturze hymnu na cześć »Królowej Wisły«, jak zwano niegdyś Toruń:

„Od siebie się miej, gdzie wdzięczne winnice
Wiszą nad Wisłą, w nich żywe krynice.
Ujrzysz lusthauzy i ogrody śliczne,
Drzewa rozliczne.

Lecz naprzód ujrzysz nad górami śpice,
I wysokich wież złote makowice,
Co swemi wierzchy modre niebo orzą,
Obłoki porzą.

A gdyć za szkutę w zad ucieką góry,
Oglądasz świetne jako płomień mury,
Miasto jak z rąbka wyciął osobne,
Na wszem ozdobne.

Toruń budowny i bogaty w cnotę.
Tam szczerych mieszczan oglądasz ochotę,
Tam pokój, tam wstyd, tam płuży uczciwość
I sprawiedliwość.

Tam podobieństwo zda się być człowieku,
Saturnowego i złotego wieku,
Gdy była cnota w one święte lata,
Królową świata".

Kiedy Klonowicz pisał te słowa pełne zachwytu, Toruń naprawdę był godzien takich dytyrambów. Był to »złoty wiek« Torunia, okres dobrobytu, a nawet bogactwa. Zboże złotą strugą lało się do jego śpichrzów, a przywoził je z dalekich stron Rzeczypospolitej flisak o dłoniach spracowanych, stwardniałych od robienia wiosłem.

Tu w Toruniu była połowa drogi spławu flisaczego z Kazimierza Dolnego do Gdańska. To też z pewnością każdy flisak podzielał zachwyt Klonowicza na widok tego miasta bogatego, bo tu był zarazem jeden z głównych postojów w drodze do morza. Postój w Toruniu był jedną z tradycyj flisaczych i od tej tradycji za nic w świecie żadnemu flisakowi odstąpić nie było wolno.



St. Wojnarska *Lokal Konfraterni Artystów w podziemiach ratusza*

Szczególnie jedno wspomnienie musiało wiązać każdego flisaka z Toruniem. Każdy »fryc« czyli młody flisak, odbywający po raz pierwszy podróż do Gdańska, winien był hołdować czołobitnie toruńskiej »grubej Marynie«. Bez tego »fryc« nie mógł zostać uczciwym flisem. A z tym wiernopoddańczym hołdem było tak:

W pobliżu pomnika kopernikowskiego, który też od połowy ubiegłego stulecia odgrywa pewną rolę w tradycji flisaczej, gdyż tu jest ulubione miejsce wypoczynku flisaków, przy Rynku Staromiejskim stoi dom »Pod Turkiem«. Dom ten, noszący na fasadzie szanowną datę założenia 1578 — choć później zmieniał wygląd swój wskutek przebudówek — mieści od niepamiętnych czasów wyszynk odwiedzany tłumnie przez flisaków, tradycyjną »gospodę flisaczą«. I to nietylko dla wyborowych trunków, z których Toruń słynie z dawien dawna.

Tu, w domu »Pod Turkiem« — którego nazwa pochodzi od godła — Turka, kurzącego tytuń z długiego cybucha — stoi do dziś wielka beczka, pojemności tysiąca dwóchset litrów. Jest to coś w rodzaju minjaturowej »beczki hejdelberskiej«. Od wielu, wielu lat stoi sobie w mrocznym zakątku gospody, a na niej rozkraczony siedzi swawolny bożek pogański, Bachus, z potężnym kielichem w prawej, z butlą w lewej ręce, z wieńcem z liści winogradu na rozwichrzonej czuprynie. Jego to nazwali flisacy »grubą Maryną« i każdego »fryca« prowadzili do tęgich jego, tłustych stóp.

Przed Bachusem odbywała się za każdym razem niezmiennie ta sama uroczysta ceremonja: »fryc« chylił się czołobitnie przed »grubą Maryną«, całował ją w wielki palec u prawej nogi, a potem z wielką ulgą oblewał ze starszymi kolegami swe pasowanie na flisa. Widać dużo »fryców« musiało dopełnić tego osobliwego obrzędu, gdyż część prawej stopy bachusowej jest starta. Oj, były ogniste owe pocałunki frycowskie!...

A że flisak był „i do tańca i do różańca", pokrzepiwszy się »Pod Turkiem« po trudach długiej podróży, nie omieszkał zajść do pobliskiego kościoła św. Jana. Tam przecież, w kaplicy tuż przy wejściu z kruchty północnej, królowała od piętnastego stulecia patronka żeglarzy, św. Barbara. Częste niebezpieczeństwa na wodzie doznawane, kierowały myśli flisaków ku uczuciom religijnym, i cześć św. Barbary ugruntowana w ich sercach wywnętrzała się w gorących modłach u stóp jej ołtarzy. Niejedno też wotum, zawieszone ręką flisaka ocalonego z ciężkiej przeprawy za wstawiennictwem św. Barbary, ozdobiło cudowny jej obraz w kaplicy toruńskiego kościoła św. Jana. A rzeźbionym wizerunkiem patronki żeglarzy, czyli »barbarką« był niegdyś ozdobiony niejeden statek wiślany, spławiany przez flisaków ku morzu.

Dziś coraz rzadziej widuje się w Toruniu flisaków. Coraz to rzadziej spływają tratwy wdół rzeki do Gdańska, i niedaleką jest może chwi-

la, kiedy jedynym flisakiem w Toruniu będzie flisak ze studzienki w dziedzińcu ratuszowym. Lekko pochylony, stoi tam ze skrzypkami w ręku i tęsknie zawodzi smętne piosenki, niedosłyszalne dla ucha ludzkiego.

To echo dawnych, dawnych lat, gdy jeszcze rojno i gwarno było na Wiśle, gdy »królowa naszych rzek« niosła ku morzu niezliczone statki i tratwy. Statki oryginalne i o nazwach dziwnych dla naszego ucha, jak komiegi i galary, szkuty i dubasy, pobitki i łyżwy, statki toruńskie, promy i byki, kozy i jadwigi.

W latach szczególnie urodzajnych i obfitych w opady, Wisła była poprostu pokryta przeróżnemi statkami, które mimo szerokości rzeki nieraz z trudem się wymijały. Tak było jeszcze pod koniec w. 18-go, kiedy to pisała gdańszczanka Joanna Schopenhauer, matka słynnego filozofa:

»Na wiosnę przybierają w głębi Polski wody, i Wisła nawet dla płytkich statków polskich często zbyt miałka wzbiera pod koniec maja dostatecznie, by na grzbiecie swym unieść złote dary Cerery do mojego miasta rodzinnego (Gdańska).

Osobliwsza to flota, która teraz pokrywa Motławę i nastręcza niecodzienny widok... Okrętami nie są właściwie te naprędce sklecone statki, z których ta flota się składa.

Gdy rok był wyjątkowo urodzajny i Wisła dużo unosiła ze sobą wody, widziało się całą szerokość rzeki pokrytą statkami, mozolnie obok siebie sunącemi«.

I oto, co powiada o życiu i obyczajach flisaków: »Nigdy nie słyszałam, żeby Szymek (Tak nazywano flisaków na Pomorzu. Przypisek autora) stawał pod zarzutem kradzieży lub podobnego przestępstwa.

Latem jest ich życie prawie całkowicie życiem dzikiego. Dzień i noc pod gołem niebem leżą (na postoju w Gdańsku) na brzegu rzeki, obok ogromnych, niemal na wysokość domu spiętrzonych kup pszenicy, i zatrudnieniem ich jest teraz strzeżenie ich i pilne przesypywanie«.

Takie było życie dawnych flisaków i takie ich statki. Znikło to wszystko wraz z upadkiem spławu na Wiśle. Pozostały tratwy, spławiane jak dawnemi czasy przez flisaków, lecz coraz rzadziej się je widuje, bo coraz mniej lasów w Polsce. Pozostanie wdzięczna pamięć o prostych i niefrasobliwych »Szymkach«, o ich życiu na tratwach, spędzanem w ciężkim trudzie, o głodzie i chłodzie. Zachowają się niektóre tradycje flisacze w pamięci ludzi.

I czasem może jakiś flisak zanuci jeszcze dawną piosenkę spławników na Wiśle:

„Flisakowa żona
Siedzi sobie doma —
A flisaczek, nieboraczek,
Robi wiosłem jak robaczek,
Jedzie do Torunia...."

Marjan Sydow

P E J Z A Ż

W ramie okiennej jasny pejzaż zimowy:
na błękitnym opalu nieba gór cukrowe głowy
przysypane lśniącemi igiełkami mrozu,
podparte fioletowym cieniem...
Na wzniesieniu
śpi pod pierzyną śniegu mały domek
pod strażą świerków nieruchomych...
Cicho — biało — przejrzyście. Bezruch doskonały...
Tylko narciarz śmiałek —
ciemna, ruchliwa plamka, pająk pracowity,
godzina za godziną
wspina się ku szczytom
i kreśli białość śniegu
niebieską pajęczyną...

Z I M O W Y P O R A N E K

Ledwie się zbudzić ze snu — słońce!
Ledwie unieść głowę
przywita cię jasne słowo: słońce!
Do szyby twarzą uśmiechniętą
mróz przylgnięty,
świerk, ustrojony w puszyste kryzy
podszedł do okna jaknajbliżej,
gałęzią w szybę uderza:
— Otwieraj! Otwieraj naścieżaj!
Słońce! —
Ledwie otworzyć okno — pachnie nasączone słońcem,
jak ponczem, powietrze!
Jasności z oczu nie zetrzesz!
Radości z serca nie zetrzesz!
Świat się mieni blaskami jak kryształ prawdziwy!
Wołam na cały głos, szczęśliwa:
— SŁOŃCE!!

Jadwiga Korczakowska

LEGENDA O PIERNIKU W TORUNIU

„Idzie Karolek ze szkoły
I gryzie toruński piernik
I myśli: Jaki też mądry
Był ten Mikołoj Kopernik"

W ten sposób uplastyczniony został Toruń w obrazach z całej Polski, ułożonych dla dzieci przez H. Mortkowiczównę w książeczce pod tytułem: »30 kolegów z całej Polski«.

Dowiedzą się z niej dzieci z odległych miast a i dorośli przypomną sobie przy tej okazji, że Toruń słynie z dwuch rzeczy: jako miasto rodzinne Kopernika i jako miejsce wyrobu najsmakowitszych pierników.

Karolek z Torunia, czytając ten wierszyk zamyśli się głęboko, gdyż nie marzy on o pierniku i nie zajada się nim, bo woli bezprzecznie cukierek na patyczku lub waflę z tarczą. A wyniosły pomnik Kopernika mija obojętnie. Lubi natomiast flisaka z podwórza ratuszowego i te miłe żabki zasłuchane w grze...

Tak jest dziś napewno.

Piernik toruński i jego sława należą już oddawna do historji. Różnorodne słodycze zmniejszyły jego znaczenie, jako przysmaku.

Nie byłoby jednak historji, gdyby ludzie nie przywiązywali się do wspomnień, do tradycji i tego wszystkiego, co było »za dawnych, dobrych czasów«...

Dzięki temu, do dziś istnieją fabryki, stanowiące własność starych rodów piernikarzy — dawnych mistrzów tego rzemiosła.

Fabryki te, pomimo przystosowania swych wyrobów do masowej, mechanicznej produkcji, przechowują do dnia dzisiejszego zbiory starych, drewnianych form, aby wypiekać reklamowe okazy dla podtrzymania tradycji i sentymentu dla piernika historycznego wogóle i piernika jadalnego w szczególności.

Przez rok cały turyści chętnie odwiedzają sklepy z piernikami, by w następstwie obdarować kogoś ze swych bliskich sercem-ulukrowanym czekoladą lub kosztownym piernikiem zabytkowym.

W okresie Świąt Bożego Narodzenia pierniki kupują chętnie sami torończycy dla swych krewnych i znajomych, jako wygodny i odpowiedni — tradycyjny upominek...

W dnie te odczuwa się istotnie nastrój ku temu. W oknach wielu sklepów barwią się kolorowe paczki z piernikami, czerwone serca, rolki z brukowcami i paczuszki płaskie z katarzynkami. Najponętniej wyglądają skrzynki świąteczne — duże z widokami Torunia i z ilustracjami bajek, z tradycyjną szopką na wierzchu. Nęcą one oczy wszystkich dzieci, wypatrujących słodyczy na wystawach. W dnie te właśnie!

Po świętach Toruń zapomina znów o piernikach, liczba wystaw maleje. Do okien wracają owoce, czekoladki i różne wyroby cukiernicze lub inny towar, który usunięto na drugi plan, aby zrobić miejsce dla więcej popłatnego piernika świątecznego...

Latem o piernikach przypomina Toruniowi od kilku latTowarzystwo Krajoznawcze, które w sklepie swym przy Rynku wystawia pierniki polichromowane i nieliczne kartki z formami starych, zabytkowych pierników.

Liczba tych pamiątek maleje z dniem każdym i o ile nie wznowi się ich produkcji i wydania — przejdą one do historji. A wielka szkoda, gdyż są ładne i bardzo cenne, zwłaszcza pocztówki z historycznemi piernikami. Można niemi operować, jak kiedyś piernikami. Mają one tę samą symbolikę.

Pewne poważne obawy nasuwa myśl o zabytkowych formach pierników toruńskich, przechowywanych w fabrykach. Niektóre z nich toczy robak i wskutek tego niszczy się drzewo i sam rysunek. Również sposób gromadzenia, bezcennych z punktu widzenia historji sztuki form drewnianych, w ciasnych szafach jedne na drugich na wzór polan zwykłego drzewa — budzi poważną troskę o te drogie nam pamiątki. Wymagają one corychlej wykupienia lub uzyskania od fabryk w formie darowizn — celem umieszczenia w gablotkach muzealnych.

Podczas zbiorowej wycieczki, gdy nam ujawniono skarby zamknięte w szafie, nie sposób było się ruszyć z miejsca.

Każda forma wykonana w drzewie miała tyle wyrazu. Rysunki misterne pod względem techniki wykonania i naiwne pod względem tematyki oglądałyśmy jak najpiękniejsze drzeworyty.

Z szafy tej wyjrzały ku nam damy w strojach dawnych z wachlarzami lub koszykami kwiatów, rycerze, postacie królów polskich, karoce i sanie wspaniałe, trębacze królewscy, myśliwi i cały świat zwierząt: wiewiórki, zające, konie, owce, papugi i koguciki — dostosowane do wyobraźni dziecka; rysunki o tematach religijnych, a więc Chrystus z krzyżem, Św. Jerzy, szopka, pasterze i t. p.

Najmilej przemawiały formy prymitywne, związane z symboliką świąt, jak baranek, ryba, pasterze i przeróżne ptaki oraz naiwne obrazki rodzajowe.

Album form wykonanych przez artystę-fotografa a może lepiej przez grafika, mógłby śmiało iść z Torunia w szeroki świat. Formy te bowiem zawierają w sobie tyle uroku i piękna.

Według spisu dokonanego przez Stanisława Dąbrowskiego, autora cennej monografji p. t. »Dawne pierniki Toruńskie« (w Rocznikach Tow. Naukowego w Toruniu i w odbitce 1927) pozostało ogółem 733 formy: w fabryce Weesego znajdują się 473, u Thomasa — 152, w firmie

Ruchniewicza — 12; Muzeum Miejskie w Toruniu posiada 134 formy pierników różnego pochodzenia (Toruń i okolice), 2 formy przechowują się w Muzeum Miejskiem w Grudziądzu.

Pośród tych form spotyka się dużo jednakowych, zwłaszcza katarzynki i prostokąty ozdobne, rozety i herby Torunia. Tworzą one kilkaset form. Niektóre formy wykonane na podłużnych klockach zawierają znów szereg różnorodnych rysunków.

Poznanie ich w obecnych warunkach nastręcza wiele trudności, wymaga poświęcenia dużo czasu i poczynienia starań w zarządach poszczególnych fabryk, aby uzyskać zezwolenie na ich oględziny. To też ogół zna zaledwie kilka, najwyżej kilkanaście form z pośród kilkuset znanych kiedyś powszechnie.

Legenda o piernikach i ich sławie drzemie oddawna w szafach fabryk i magazynach Muzeum miejskiego w Toruniu.

Inne pamiątki z okresu sławy piernika tkwią jeszcze gdzieniegdzie w Toruniu również małoznane dla przeciętnego mieszkańca.

Przy ulicy Sukienniczej w domu pod Nr. 18/20 mieści się gospoda cechów, gdzie do dnia dzisiejszego odbywają się zebrania „bractwa czeladzi piekarskiej". Patronuje im nad wejściem godło cechu piernikarzy i piekarzy w formie kwadratowego proporczyka, wykonanego z żelaza z gryfem pomorskim, dzierżącym miecz. W jednej z sal przechowują się cechowe puhary, ozdobione rysunkiem ula.

Cech piekarzy w przeciwstawieniu do „bractwa czeladzi piekarskiej" zwołuje swe zebrania w innych lokalach poza gospodą. W gronie swym nie ma on już więcej piernikarzy, gdyż przemysł fabryczny ma robotników, a nie czeladników, jak to ma miejsce nadal w rzemiośle piekarskim.

Starszy cechu przechowuje w swem mieszkaniu, zgodnie jeszcze z ustawą piekarską z 1832 roku skrzynkę cechową, pięknie inkrustowaną o ciężkich zamkach. Spoczywają w niej dawne rejestry, księgi protokułów, kilka starych dokumentów z XVII wieku spisanych na pergaminie ozdobnem pismem gotyckiem; wzór świadectwa wydawanego czeladnikom piekarskim z piękną ryciną starego Torunia oraz mała pieczęć żelazna z 1767 roku z wizerunkiem anioła i kręgielka.

Pieczęci tej jednak cech nie używa, woli lekką, nowoczesną. Skrzynka cechu wbrew dawnym przepisom, nakazującym, aby była zamykana na 3 zamki i otwierana w obecności 3 członków, uprawionych do tego — stoi dziś otworem, a to dlatego, że cech nie przechowuje w niej pieniędzy, jak dawniej. Woli oddawać je do banku lub kasy w razie potrzeby.

W dalszem poszukiwaniu pamiątek z czasu rozkwitu piernika w Toruniu sięgnęłam po dokumenty dawne przechowywane pieczołowicie w Archiwum miejskiem w Toruniu.

Stare, szczerniałe lub mocno przyżółkłe akta, kiedyś mozolnie spisane wąskim i niewyraźnem pismem gotyckiem, strzegą zawzięcie tajemnic minionej epoki...

Odnalezienie czytelnego dokumentu pośród siedmiu grubych foljałów, odcyfrowanie częściowe tekstu podania, połapanie się w treści listu lub starego rejestru daje rozkosz nielada.

Najdawniejsze akta sięgają 1581 roku. Zawierają one wykaz przyjezdnych mistrzów i towarzyszy, przybyłych do Torunia na naukę w zawodzie piekarskim i piernikarskim na okres jednego roku i jednego dnia.

W innych teczkach cieszą nas rozporządzenia, dotyczące rzemiosła piekarskiego wydane w imieniu króla Augusta II. Tekst wstępu wykaligrafowany jest ozdobnem dużem pismem i głosi po łacinie sławę Króla Polski, Rusi, Prus, Wołynia, Podola, Kijowszczyzny i t. d. Niektóre dokumenty zaopatrzone są pieczęcią królewską: z orłem Polski pośrodku oraz tarczami herbowemi i napisem wokoło. Pieczęć odbita jest na laku przez papier pergaminowy. Jest to ta sama pieczęć, jaką widzimy w dużem powiększeniu na formie historycznego piernika, sprzedawanego do dziś przez firmę Weese.

Z dalszych dokumentów dowiadujemy się, gdzie i jak odbywała się sprzedaż pierników. A więc w dnie powszednie w oknach domów, podczas dni targowych na ławach przy Rynku. Następnie w 1641 r. nakazano pobudować kramy specjalne przy Rynku. Stały one od ul. Chełmińskiej. Proste rysunki, plany i przekroje znajdują się w teczkach archiwalnych.

Gdy mistrz piernikarski wyjeżdżał na dalekie targi do sąsiednich miast, ozdabiał swój wóz niebieską tarczą z herbem Torunia i wywieszał napis o sprzedaży pierników toruńskich. Z czasem przyjął się zwyczaj dawania ogłoszeń w miejscowej gazecie, w specjalnym biuletynie, wydawanym z racji jarmarku, w którym rzędzie i w jakiem miejscu znajdzie „szanowna publiczność“ kram z piernikami toruńskiemi.

Każdy mistrz piernikarski miał prawo do jednego kramu. Nikt obcy nie miał prawa trudnić się ich sprzedażą, chyba w zastępstwie. Inaczej miał do czynienia z cechem piernikarzy i policją... Sprawy takie ciągnęły się nieraz cały rok, zanim wyświetlono rzecz dokładnie, jak np. spór Anreosa Weesego z Jakubem Liebigem z 1823—24 roku.

Ustawy i przepisy regulowały również sposoby przyjmowania uczniów i czeladników do rzemiosła piekarskiego, sposób ich wynagradzania, traktowania oraz ich zobowiązania względem mistrzów[1].

W dnie pogrzebów musieli oni okazywać pomoc rodzinie majstra, w razie śmierci ucznia lub czeladnika mistrz składał w policji zeznanie i spis rzeczy pozostałych po zmarłym.

Rozczulające są wzmianki niektóre, o tem, że po śmierci ucznia pozostała tylko odzież zniszczona bez wartości. W innym dokumencie figuruje spis garderoby pracownika zamożniejszego, a więc: błękitna czapeczka, białe rękawiczki, letnia kamizelka w pasy i druga z sukna oraz 2 pary półbucików.

Rozporządzenie nakazywało również, aby uczeń nie dostawał więcej niż 10 groszy dziennie i $^1/_2$ kufla piwa oraz 15 florenów polskich za pół roku.

Z tego widać, że nie najgorzej im się powodziło, póty póki kwitło rzemiosło i skrzynie z piernikami płynęły na barkach po Wiśle do Gdańska i w górę rzeki, niezależnie od darów indywidualnych, przeznaczonych dla królów, które wymagały specjalnej misji i posłów, udających się na dwory osobiście.

Janina Ginett-Wojnarowiczowa

JÓZEF STAŃCZEWSKI

DZIENNIKARZ I LITERAT POMORSKO-BRAZYLIJSKI

„Porzucił swą ojczyznę, by w głębiach bezdennych
Dziewiczych lasów pędzić dnie krwawej zatraty.
A choć wkoło natura cała się uśmiecha
Swoich blasków powabem, jak szatan łudząca...
Jemu zawsze w umyśle tkwi rodzinna strzecha...

Piotr Sieciński
(Echo z Brazylji)

I.

Powyższe słowa, które Józef Stańczewski umieścił jako motto na karcie tytułowej swego tomiku poezyj p. t. : »Pod Krzyżem Południa«[2], w zupełności można zastosować do niego samego. I on był, choć z własnej woli, emigrantem z kraju, i on, obrawszy sobie Brazylję i jej ośrodki polskie za stały teren pracy, tęsknił wciąż za domem ojczystym, za Po-

[1] Szczegółowy materjał, dotyczący cechu piekarzy poza dokumentami będącemi w posiadaniu Archiwum miejskiego — zawiera dzieło Stanisława Herbsta p. t. „Toruńskie Cechy Rzemieślnicze". Toruń 1933.

[2] Józef Stańczewski (Fredecensis): „Pod Krzyżem Południa". Poezje. Kurytyba, 1925. Wydawnictwo „Oświaty". 8^0, str. 32.

morzem, za miastem rodzinnem Wąbrzeźnem. Dowodem tej tęsknoty są jego liczne prace, artykuły, wiersze, mające jako temat Pomorze i Wąbrzeźno. Działalność literacka i publicystyczna Stańczewskiego nie ograniczała się jedynie do regjonu pomorskiego. Osobną dziedzinę jego zainteresowań stanowiły dzieje wychodźtwa polskiego w Południowej Ameryce, zwłaszcza w Brazylji, następnie piśmiennictwo ibero-amerykańskie, a na pierwszem miejscu literatura brazylijska. Owocem tych badań Stańczewskiego jest ciekawa książeczka p. t.: »Druki portugalskie i brazylijskie o Polsce«[1], wydana w Poznaniu z okazji IV Zjazdu Bibjofilów Polskich.

Nie wszystko, co wychodziło z pod pióra Stańczewskiego, było wartościowe. Jego wiersze, zwłaszcza pierwociny, są słabe co do formy, choć zdradzają szczere uczucie. Jego prace popularno-historyczne znamionuje ukochanie przedmiotu, lecz nie miał on fachowego przygotowania historycznego z wyrobioną metodą naukową. Autor »Polski w Brazylji«[2] i »Zarysu historji miasta Wąbrzeźna«[3] był samoukiem. Impulsem do jego działalności pisarskiej było jedynie gorące ukochanie literatury i historji, zwłaszcza dziejów ziemi ojczystej i środowiska, w którem przebywał. Młody wiek autora »Żywota i cudów świętobliwego sługi Bożego Bernarda z Wąbrzeźna«[4] tłumaczy również różne niedociągnięcia.

Stańczewski bowiem zmarł na ziemi brazylijskiej w r. 1935, w kwiecie wieku, mając zaledwie 35 lat. Gdyby los dozwolił mu dłużej żyć, kształcić się i pracować nad sobą, zapewne doczekalibyśmy się niejednej dojrzałej pracy, zwłaszcza z zakresu spraw wychodźtwa polskiego w Brazylji, którego dzieje i los specjalnie leżały mu na sercu.

Do prawdziwie wartościowych prac Stańczewskiego zaliczyć należy studjum językoznawcze »Wpływ języka portugalskiego na język kolonistów polskich w Brazylji«[5]. Rozprawka ta zaciekawiła nawet polskich językoznawców i seminarja lingwistyczne w Krakowie, Warszawie i Poznaniu. Pisał o niej prof. Wędkiewicz z Krakowa, zainteresowali się nią prof. Klich z Poznania i prof. Baudouin de Courtenay z Warszawy.

---

[1] Józef Stańczewski: „Druki portugalskie i brazylijskie o Polsce". Szkic bibljograficzny. Poznań 1929. Nakładem autora 8⁰, str. 24.

[2] Józef Stańczewski: „Polska w Brazylji", odbitka z „Przeglądu Współczesnego" nr. 79-80. 1928. 8⁰, str. 15.

[3] Józef Stańczewski: „Zarys historji miasta Wąbrzeźna", wydanie II (dzieło pośmiertne(1935. 8⁰, str. 80.

[4] Józef Stańczewski: „Żywot i cuda świętobliwego sługi Bożego Bernarda z Wąbrzeźna". 1929. 16⁰, str. 31. B. Szczuka, Wąbrzeźno.

[5] Józef Stańczewski: „Wpływ języka portugalskiego na język kolonistów polskich w Brazylji" (czcionkami „Ludu" Avenida dr. Jayme Reis 115. Kurytyba 1925. Parana).

W »Przeglądzie Współczesnym« (nr. 79-80, 1928) ukazała się jego praca, którą zakwalifikować należy jako dobrą, p. t.: »Polska w Brazylji« (I. Polska i Polacy w piśmiennictwie brazylijskiem. II. Propaganda kultury polskiej w Brazylji)[1].

Stańczewski wiedział, że jego pierwociny literackie, czy też historyczne, były słabe. Zdawał sobie z tego sprawę i dlatego kształcił się dalej, czytał dużo, badał, studjował, zbierał materjały. Wróciwszy w roku 1929 na pewien czas do Ojczyzny był redaktorem poznańskiego »Przewodnika Katolickiego« i w tymże czasie pisał do mnie na temat swych prac historycznych:

„Zarys historji m. Wąbrzeźna, oraz rozprawka o zamku wąbrzeskim jak i artykuły o Bernardzie z Wąbrzeźna są tylko zabawkami na tle studjów nad dziejami m. Wąbrzeźna. Niestety nie mam okazji studjować w Toruniu i żałuję, że bibljoteki tamtejsze (t. j. toruńskie) nie są w Poznaniu. Jednakże podczas wakacyj, które spędzę u rodziców, będę dojeżdżał z Wąbrzeźna do Torunia, aby nieco postudjować w Bibljotece Miejskiej.....“ (list do mnie z 28. VI. 29).

— O swych wierszach, których pozostawił kilka tomików, pisał:

„Niestety muszę się przyznać, że pozatem piszę jeszcze poezje, kiepskie, ale szczere...... Cieszę się, że tomiki poszczególne są już dawno wyczerpane. Mają chyba wartość bibljofilską i bibljograficzną jako rzadkości, gdyż drukowane są w Brazylji w ograniczonym nakładzie. Dużo wierszy rozsianych jest po czasopismach. Obecnie wybieram co lepsze, szlifuję i drukuję serjami w „Gazecie Polskiej“ w Kościanie, która je wydaje jako dodatki do pisma.“ (list do mnie z 28. VI. 29 r.)

Wierszyki własne nazywał Stańczewski żartobliwie: „zabawkami wierszem Pomorzanina“. Pocieszał się nadzieją, że i „moje prace razem z wysiłkami wszystkich synów ziemi pomorskiej nie będą — być może — bez wartości“.

Stańczewski był niezmordowany. Pisał wiele do gazet polskich w Brazylji (»Lud«), zasilał także prasę pomorską (»Słowo Pomorskie«) korespondencjami traktującemi o wychodźtwie polskiem w Ameryce Południowej, Na łamach czasopisma »Brasil-Polonia«, wychodzącego w Rio de Janeiro, drukował studjum bibljograficzne, napisane po portugalsku p. t.: »O Brasil na literatura polonêsa« (Brazylja w literaturze polskiej). Czasopismo »Pro Christo« wychodzące w Warszawie zamieściło w zeszycie na luty 1927 jego studjum p. t.: »Bernard z Wąbrzeźna jako wzór studjującej młodzieży«. Z jego pracą literacko-poetycką łączyło się wielkie zainteresowanie książką, zwłaszcza drukami polsko - ibero — amerykańskiemi. Jako bibljofil cieszył się każdym nowozdobytym drukiem, wchodzącym w zakres jego zainteresowań. W roku 1932 pisał z Marumbi (Rio Azul, Parana) pod datą 24. IX. 1932:

[1] Istnieje osobna odbitka powyższej pracy, cfr. uwaga pod [2].

„Nie wiem, czy już W Szan. Panu doniosłem, że bibljoteczka moja liczy obecnie około 2000 książek i broszur. Tu na miejscu uzupełniam specjalnie dział ibero-amerykański, jako dla mnie najciekawszy; obejmuje kilkaset tomów i tomików. Pozatem wolne chwile poświęcam studjom językowym, literackim i historycznym......"

Księgozbiór Stańczewskiego zawiera dla nas wiele »białych kruków«, m. i. trzy portugalskie opracowania dziejów Polski.

O jego bogatej i ciekawej bibljotece zaszczytną czyni wzmiankę w r. 1929 Bożenna Szulc-Golska opisując: »Wielkopolskie bibljoteki prywatne«[1] (Właściciel księgozbioru mieszkał wówczas w Poznaniu).

Co stało się z bibljoteką Stańczewskiego po jego śmierci? Wskazanem byłoby poczynić starania wspólnie z rodziną zmarłego, o przewiezienie jej do Polski i umieszczenie tego ciekawego księgozbioru w toruńskiej Książnicy Miejskiej im. Kopernika, gdzie stanowiłaby widomy znak kulturalnej łączności polsko-brazylijskiej, stworzonej przez syna ziemi pomorskiej.

Według relacyj dzienników zmarły literat pomorsko-brazylijski pozostawił rękopisy prac p. t.: »Szkice ibero - amerykańskie« i »Wybitni Polacy w Ameryce Południowej«.

Śmierć nieubłagana zastała Józefa Stańczewskiego na posterunku nauczyciela polskiego wśród wychodźtwa naszego w Brazylji. Brał on też czynny udział w pracach Związku »Oświata«. Całe życie jego było pełne poświęceń i ukochania służby dla narodu na tak eksponowanym posterunku zagranicznym. Jego nagła śmierć okryła wielką żałobą całą Polonję brazylijską[2].

Tadeusz Pietrykowski

O MRONGOWJUSZU KILKA NOWYCH SZCZEGÓŁÓW I REPLIKA

W księdze pamiątkowej, wydanej w Gdańsku przez Towarzystwo Nauki i Sztuki, ku czci Mrongowjusza (1932), podano z jego czasów szkolnych i królewieckich niewiele danych, a to wskutek trudności, jakie nastręczały poszukiwania na terenie wschodnio-pruskim. Kilka nowych szczegółów przynosi niemiecki artykuł dra Piotra Medzega p. t. „Christoph Cölestin Mrongovius" w miesięczniku sopockim „Wacht

[1] „Bibljoteki wielkopolskie i pomorskie". Praca zbiorowa pod redakcją Stefana Wierczyńskiego Poznań 1929. Komitet Organizacyjny IV. Zjazdu Bibljofilów i II. Zjazdu Bibljotekarzy Polskich.

[2] W II. części naszego artykułu zamieścimy dokładny życiorys Stańczewskiego oraz bibljografję prac J. Stańczewskiego.

im Osten" 2. Jg. F. 9 Brachet (czerwiec), str. 386—388. Za nim podaję tutaj następujące wiadomości.

Krzysztof Celestyn uczęszczał do szkoły prowincjonalnej w Zalewie (Saalfeld), poczem (od r. 1782) do gimnazjum królewieckiego na Knipawie (Kneiphöfsches Gymnasium). W r. 1789 wstąpił na uniwersytet królewiecki. Słuchał wykładów Kanta i Brocka, Mengelsdorfa i Heysego, Koehlera i Gräfa, poświęcając się głównie filozofji i językoznawstwu. Studjował łacinę i grekę, jęz. francuski i angielski, a obok polskiego także rosyjski i czeski. Na utrzymanie zarabiać musiał lekcjami prywatnemi, niebawem jednak został powołany na nauczyciela języka greckiego do Fridericianum w Królewcu. Później otrzymał dobrze płatną posadę w szkole katedralnej na Knipawie. W r. 1796 ożenił się z Wilhelminą Paarmann, córką pastora z Radau pod Królewcem. W następnym roku uległ swym skłonnościom do kapłaństwa, starając się o posadę kaznodziei u Św. Anny a i równocześnie lektora ówczesnego Gimnazjum Akademickiego w Gdańsku.

Tyle dr. Medzeg. Wiadomości te przyjąć jednak trzeba z zastrzeżeniem, gdyż niewiadomo, skąd je czerpał. Nie wspomina też ani słowem o studjach teologicznych Mrongowjusza. W swym artykule powołuje się na „Aufzeichnungen über das evangelische Dantzig" Efraima Praetoriusa, który rzekomo uczcił Mrongowjusza jako kaznodzieję i uczonego. Z tego źródła przecież dr. M. niewiele mógł się dowiedzieć, a to z tej przyczyny, że Efr. Praetorius (1657—1723) żył o cały wiek przed Mrongowjuszem (1764—1855). Jest wprawdzie w Bibljotece Miejskiej w Gdańsku (Ms. 430) rękopiśmienne dzieło Praetoriusa „Evangelisches Dantzig", ale zawiera ono dopiski wielu późniejszych rąk, a o Mrongowjuszu znajdujemy tam na 4 miejscach zaledwie 2—3 wierszy notatek równej treści. Lecz mniejsza z tem.

Ważniejszą atoli rzeczą jest cel, jaki przyświecał p. Medzegowi w pisaniu artykułu. Przedewszystkiem wspomniał o Mrongowjuszu, jako o człowieku zasłużonym około kulturalnego zbliżenia polsko-niemieckiego (Por. podręczniki do nauki języka polskiego dla Niemców oraz słowniki). Przy tej sposobności pozwolił sobie jeszcze raz podać w wątpliwość przynależność narodową Mrongowjusza, nie bacząc na wspomnianą księgę pamiątkową, w której dobitnie wykazano nietylko polską narodowość Mrongowjusza, ale gorący patrjotyzm, zaświadczony słowami, a przedewszystkiem czynem i całym nieskalanym żywotem. Dr. Medzeg mimochodem tylko wspomina gdańską księgę pamiątkową z r. 1933: „Vor nicht langer Zeit ist ein polnisches Werk über ihn erschienen" (nic więcej). Prawdopodobnie jej nie czytał? A w takim razie występowanie z nowym artykułem było conajmniej ryzykowne. I poco te nowe wątpliwości? „Als ansässiger Masure wurde dem jun-

gen Christoph Coelestin die »Zwiesprachigkeit« Schicksal. War er Pole, war er Deutscher? In eigenen Aufzeichnungen aus späteren Jahren gibt er an, dass er sich zunächst fast ausschliesslich der deutschen Sprache bedient habe. Die Familie des Vaters war polnisch, die der Mutter deutsch. Das Polnisch lernte er unter polnisch sprechenden Menschen aufwachsend als Kind". Od tak ostrożnej sugestji (»zunächst fast«, »die Familie des Vaters war polnisch«, a dlaczego nie sam ojciec?) do błędnego wniosku droga niedaleka. Zapewne, jeśli matka była Niemką, a ojciec Polakiem, to dziecko mówiło prawdopodobnie obu językami. Trudno przypuszczać, żeby ojciec Polak w czasach, kiedy język polski nie był jeszcze na Mazurach kamieniem obrazy, nie przemówił do dziecka po polsku. Tyle o dziecku Mrongowjuszu. A jako człowiek dorosły? Kim był, Polakiem, czy Niemcem, dowiódł aż nadto dobrze. Już to samo powinno przekonać, jeśli nic innego, że Mrongowjusz uważał Mazurów za prawdziwych Polaków (nie za jakiś nieokreślony naród mazurski), a siebie za ich ziomka. »Moimi kochanymi współrodakami« zwie Mazurów w »Pieśnioksięgu«. Jeśli się zaś uprzytomni jego niestrudzoną pracę całego długiego żywota około języka polskiego, około szerzenia kultury polskiej wśród swoich i obcych, a nadto walkę w obronie tego największego i najdroższego skarbu narodowego i skargę na bezprawie językowe, zaniesioną aż przed tron królewski, to zaiste, wszelkie wątpliwości prysnąć muszą wniwecz. Mrongowjusz urodził się Polakiem z ojca Polaka i Polakiem był przez całe życie.

Szkoda, że dr Medzeg nie podniósł innej właściwości Mrongowjusza, a to tej, że z gorącą miłością Polski, języka i kultury polskiej, pogodzić umiał lojalne spełnianie obowiązków jako urzędnik i obywatel zaborczego państwa pruskiego. Oddałby w ten sposób Mrongowjuszowi sprawiedliwość, a sprawa jego przynależności narodowej stałaby się nad wszelką wątpliwość jasną.

Jeszcze drugie wypowiedzenie dra Medzega należy sprostować. Pod koniec artykułu, mówiąc o pracy nauczycielskiej Mrongowjusza w szkole Św. Jana w Gdańsku, powtarza zdanie W. Fabera[1], że Mr. był złym pedagogiem: »Während mehr als vierzig Jahren behielt er dieses Lehramt, das ihm, weil er ein schlechter Pädagoge war, viel Aerger und Verdruss bereitete«.

Owo oszczerstwo ma swoje źródło w pobieżnem wnioskowaniu i niechęci do Polaków dra Fabera, dla zdrowego rozumu ma stwierdzenie takie posmak szczerego wymysłu. Człowiek, pochodzący z rodziny

[1] Faber Walter Dr. Die polnische Sprache im Danziger Schul-und Kirchenwesen von der Reformation bis zum Weltkrieg. Zeitschr. d. Westpr. Gesch.-Ver. Nr. 70 Gdańsk 1930. O Mrongowjuszu str. 126-128.

nauczycielsko - pastorskiej, od lat młodzieńczych nauczający młodzież i dorosłych, autor wielu podręczników, nauczyciel, cieszący się poważaniem przełożonych oraz społeczeństwa obojga narodowości, człowiek, który bronił dzieci polskich w Gdańsku przed biciem w szkole pruskiej, człowiek taki nie mógł chyba być złym pedagogiem. Nikt tego ze współczesnych nie powiedział, a sam Mrongowjusz pisał o sobie na dziesięć lat przed śmiercią, że nauczanie młodzieży jest dla niego równocześnie rozweseleniem. Że zaś osiemdziesięcioletni starzec był niedołężny, szczególnie wśród niekarności w zakładzie, prowadzonym przez znakomitego pedagoga Löschina, i wszystkich innych znakomitych pedagogów niemieckich, temu dziwić się nie można.

Przyczyna złej pedagogji Mrongowjusza tkwiła jeszcze gdzieindziej. W szkole Św. Jana język polski traktowano jak piąte koło u wozu; sam dyrektor Löschin nie był przyjacielem ani Polaków, ani języka polskiego. Nie inne też było grono nauczycielskie, a przedewszystkiem sam prezydent Schön był niechętny Polakom, szczególnie zaś Mrongowjuszowi za jego polskość. Za tę jego polskość »zapomniano« go uczcić choćby tylko 50-letnim jubileuszem pracy zawodowej, za tę jego polskość odmówiono kilkakrotnie jemu, człowiekowi nauki, tytułu profesora.

On jednak trwał i wytrwał do ostatniego tchu. Uzacnił życie swoje piękne głęboką, a niekrzykliwą miłością ojczyzny — Polski, „uzacnił niezmordowaną, nieprzerwaną owocną pracą około języka polskiego" (A. Mickiewicz). Dlatego też Ojczyzna wdzięczna czuwa nad jego dobrem imieniem poza grobem, jak on czuwał nad jej dziećmi i jej największym skarbem za życia w czasach czarnej, beznadziejnej niewoli.

Gdańsk, w styczniu 1936

Władysław Pniewski

TORUŃ W NAJNOWSZEJ EPOPEI WIŚLANEJ

H. Boguszewska i J. Kornacki, zespół literacki „Przedmieście". WISŁA. Powieść. Książnica-Atlas — Lwów-Warszawa (1935).

Ciężka od gwary wodniackiej książka Boguszewskiej i Kornackiego jest wkroczeniem w regjonalizm całkowicie nowego gatunku. Nie dzielnica lecz szlak wodny z rozsianemi wzdłuż brzegu miasteczkami i miastami, z kępami, do których przywiązane są lokalne, mało znane legendy — staje się terenem wypowiedzi artystycznej.

Nie można poprzestać na jednorazowem odczytaniu tej książki. Po przełamaniu pierwszych trudności trzeba powrócić do niej jeszcze raz, aby już dokładnie rozpoznać się w jej smaku gatunkowym. Trudność zbliżenia wynika nietylko z właściwości językowych, z owych nagromadzonych na każdej stronie zwrotów czysto technicznych, z obficie stosowanej nomenklatury fachowej, nieznanej czytelnikowi i niezrozumiałej. Mocniej zaważyła tutaj zasadnicza forma pisarska, oparta jakby na umyślnem zaciemnianiu i gmatwaniu splotem drugorzędnych przyczynków, wspomnień i reminiscencyj głównego nurtu narracji. Właściwość ta, obca całkowicie czystej i jasnej w swym precyzyjnym i oszczędnym kunszcie prozie Boguszewskiej, pochodzi przypuszczalnie od współautora. Ogromny materjał doświadczalny, stłoczony ciasno i zgęszczony jeszcze sztucznie, jest wskutek tego niemal równie niejasny, fragmentaryczny i trudny do odcyfrowania jak samo życie.

Książka niełatwa jest jednak na szczęście książką o dużej sile witalnej, pulsującej w głębi. Posiada mocny surowy smak pierwotności. Po raz pierwszy Wisła obejrzana została nie od strony nastrojowego pejzażu lecz od strony kupieckiego interesu i pełnego trudu zmagania się z małą wodą czy zaciekającą „ładonką“. Zjawiają się oczywiście zielone wikliny, bieleją łachy, ciemnią się noce. Jest Kazimierz i Płock, Czerwińsk, Toruń, ale nie układają się one w znany szablon zdobniczego motywu krajobrazowego. Co innego jest ważne. Przykład zilustruje to najlepiej. „Ręka wielka jak u mężczyzny z przyzwyczajenia gładzi koło sterowe, dotyka sprzętu, lekko przeciąga po starej drucianej linie. Wrzawa, psiakrew, trzeba podwijać. Konopne liny znowuż musi się zeszplisować, bo krótkie. Manelowych przykupić. O nowym bumsztyku pomyśleć. Sztajerbudę pomalować. Na lonbanku szpary blachą obić, bo już zanadto przecieka. W zamyśleniu błądzą ręce po starych sprzętach“.

A znów dalej: „Hajnuś obiema rękami korbą żelazną kręci, nawija na windę linę stalową napiętą, a z wody ciężko unosi się w powietrze kotew czarna i mokra, fajna gruba kotew koroniasta”.

Jest tu pierwotne, na czysto zmysłowym kontakcie oparte złączenie się ze światem najbliższej rzeczywistości, od berlinki poczynając z całym zespołem jej sprzętu prymitywnie pięknego aż po wodę, tę wiślaną, do której przy twierdzy modlińskiej wlewa się czarna i przejrzysta woda narwiańska, najlepszego smaku. Jest charakterystyczne rozsmakowanie się w świecie konkretu, miłość dla wszystkiego, co da się dotknąć i zużytkować, co przynosi człowiekowi bezpośrednią korzyść materjalną. To właśnie w świecie Gaborów, Roratów, Szpradów, jest cenione, brane poważnie pod rozwagę i zastanowienie.

Ponieważ jednak żelazne lub drewniane pudło berlinki nie zamyka człowieka w taką ścisłą niewolę jak sklep, biuro czy mieszkanie w mieście, więc też zakres tych najpospolitszych, niezbędnych, materjalistycznie ujętych akcesoryj życia wodniackiego rozszerza się nieoczekiwanie.

Szeroki przestwór wodny, gęsty wiatr wiosenny stają się w interpretacji rasowego wodniaka najcenniejszym składnikiem każdej na wiosnę podejmowanej ryzy. „Co też ta woda ma do siebie", duma stary zapijaczony szyper Dobrziałkowski, „że ledwie człek nogę na pokładzie postawi już jakby go kto na sto koni wsadził".

Woda i powietrze — dwa czynniki proste, wyodrębnione tu ze świata zjawisk współrzędnych, królują niepodzielnie. Życie człowieka upływa w najbezpośredniejszym z nimi kontakcie od wczesnego fryjoru po sen zimowy. Jak małoważne fragmenty, którym tylko mimochodem poświęca się chwilową uwagę, przesuwają się miasta przybrzeżne, pola, wierzby, dziewanny. Bohaterzy rzadko opuszczają sunący wolno pokład berlinki. Na lądzie jest im źle, duszno, niewygodnie, ciasno. Tylko na wodzie człowiek może mieć swoją wygodę.

Jedno tylko miasto przybrzeżne spaja się jakoś żywiej z losami wodnych ludzi. Miasto najbardziej wiślane i najmocniej zespolone z wodnym handlowym szlakiem, Toruń, w językowej interpretacji wodniaków — Toroń.

W jaki sposób radzą sobie autorzy z tym kunsztownym kompleksem czerwonych murów, starych śpichlerzy, spiętrzonych kościołów, niewcielonym dotychczas ani razu w kształt literackiego ujęcia?

Eliminują przedewszystkiem malarsko-fotograficzną łatwiznę podejścia. Rezygnują z sylwety miasta tak znamiennej i plastycznej właśnie od strony rzeki. Odrzucają architektonikę ratusza, nie anektują mrocznej piękności kościołów, przechodzą mimo gotyckich kamieniczek poukrywanych w ciasnych ulicach. Słowem, odrywają się od tego wszystkiego, co w skrócie pośpiesznie odbywanej wycieczki narzuca się najwyraziściej obcemu przybyszowi. Natomiast na pierwszy plan wysuwają elementy raczej muzyczno-wzruszeniowe, starają się zrozumieć urok miasta przez wniknięcie w jego niewidzialną poezję.

Toruń staje się tutaj miastem miłości, uzupełniającym składnikiem romantycznego oszołomienia eksflisaka i bandyty, Aleksego Rorata i łagodnej jasnowłosej córki szypra, Anny. Od chwili kiedy na bulwarku toruńskim napotkał Rorat Annę, myśląc, że to jedna z dziewcząt pomorskich, „ciężka, świeża i nijaka", odtąd przeistacza się Toruń, Toroń w zjawisko przesłonecznione, ujęte wyłącznie od strony subjektywnej.

Są wprawdzie pewne rysy realne. Powtarzają się wiernie nazwy ulic, Mostowa, Wielkie Garbary, Wola Zamkowa, Łaziebna w ładnej starej wymowie flisaków, Magazyn Kałamajskiego w Bramie Piekarskiej

z pewnym, drobnym zresztą błędem czy przeoczeniem, typowe Rzeźnictwo, tym razem, Erny Kuffke na Jakóbskiem Przedmieściu, — „wnętrze długie, ciemne, kaflowane różowo i niebiesko, pachnące mokro, szynki pod sufitem, stosy kiełbas, salcesonów, polędwic za szkłem na ladzie". Charakterystyczna jest i ta kiełbasa metka, która widocznie jako signum loci uderzyła autorów. Dobra jest daleka zieleń Bydgoskiego Przedmieścia, oglądana z oddalenia, z ciemnego wnętrza Bramy Piekarskiej, i wierzba trafnie ukazana na tle czarnego w paski domu w wąskiem przejściu z Woli Zamkowej na Wielkie Garbary.

Ale wszystkie te właściwości lokalne rzucone na ekran drgających ciągle i niespokojnych wzruszeń Aleksego Rorata. Dlatego kamienie drżą w takt tanga, które ten czarny chłopak w białem płóciennem ubraniu wygrywa co wieczór w Deutsches Heim. Dlatego za oknami jego pokoiku na Winnicy „stoi świetlista noc toruńska". Ta noc jest toruńska bezwątpienia, ale jest „świetlista" dlatego, że Rorat kocha. Takich samych wzruszeniowych właściwości nabiera ranek. „Ranek nad Toroniem koliście wjeżdża na niebo, koliście od Fordonia nadjeżdża parostatkiem i podzwania kościołami koliście, i turkocze wózkami po ulicach... odrazu jasny i odrazu gwarny, pełen głosów za oknem...".

Opisowość przepuszczona w ten sposób przez filtr stanów psychicznych bohatera daje wcale mocne i trafne efekty.

Autorom nie chodziło jednak o stworzenie sylwety miasta ani o jego syntezę. W powieści poświęconej wyłącznie Wiśle i jej sprawom, Toruń mógł być potraktowany jedynie jako jeden z motywów dodatkowych. Mimo to drobny ten motyw, nie wykraczający z ram harmonijnej całości, jest żywy i posiada swą własną, swoistą wymowę — lekko lecz trafnie zaznaczający się koloryt lokalny i wdzięk, wdzięk prawdziwy i niepodrabiany.

Zawdzięcza go może pokrewieństwu z Wisłą. Wisła bowiem ciągle tu zagląda w oczy.

„...nisko w dole za czerwonemi domami płyną tratwy.

Jasnym wachlarzem płyną po szklistym sztrychu przedwieczornym i kołyszą się czarnymi ludźmi przy drygawkach, blado świecą słomianym błyskiem bud, zalatują organkami, śmiechem, wesołą szybką mową, długiemi leniwemi dymami z nad palenisk".

Zofja Bogusławska

KRONIKA

DZIESIĘCIOLECIE INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W TORUNIU

W lutym b. r. obchodził Instytut Bałtycki 10-lecie swojego istnienia, a 8-lecie swej pracy wydawniczej. W związku z tem ukazało się IV. obszerne Sprawozdanie Dyrekcji Instytutu p. t. „Dostęp do morza, zagadnienie pomorskie, wspólnota bałtycka“, obrazujące całokształt dotychczasowej działalności naukowo-wydawniczej Instytutu.

Sprawozdanie rozpada się na 4 części: Na pierwszą część sprawozdania składają się sprawozdania i referaty, obrazujące dotychczasowy dorobek Instytutu, oraz program działalności na przyszłość w poszczególnych dziedzinach wiedzy, przedłożone komisjom naukowym w czerwcu 1935 r. Drugą część stanowi streszczenie przebiegu walnego zgromadzenia członków Instytutu. Trzecia część sprawozdania jest poświęcona sprawie wyższej uczelni na Pomorzu. To ważne dla przyszłości życia kulturalnego na Pomorzu zagadnienie zostało szczegółowo przedstawione w artykułach sen. B. Chrzanowskiego, prof. J. Kostrzewskiego i dyr. J. Borowika. Wreszcie czwarta część obejmuje całokształt działalności wydawniczej Instytutu, a więc oprócz jej krótkiej historji, spis porządkowy oraz dokładny katalog rzeczowy wydawnictw. Ze spisów tych okazuje się się, że dorobek wydawniczy Instytutu osiągnął z końcem 1935 r. 504 pozycyj bibljograficznych przy współpracy 247 uczonych polskich i obcych, co stawia Instytut w rzędzie najpoważniejszych instytucyj naukowo-wydawniczych w Polsce.

J. B.

DZIESIĘCIOLECIE TORUŃSKIEGO TOW. BIBLJOFILÓW

W dniu 29 stycznia obchodziło Tow. Bibljofilów im. Lelewela w Toruniu 10-lecie istnienia, zwołując do swej kolebki, Książnicy Miejskiej im. Kopernika w Toruniu, przy ul. Wysokiej 16 członków swych na walne zebranie. W ten sposób uczczono skromnie lecz godnie rocznicę powstania Towarzystwa, które ma już swą kartę w dziejach kultury umysłowej współczesnego Torunia. Gdy przed 10-ciu laty zebrało się grono osób, by w stolicy Pomorza stworzyć placówkę bibljofilską, inicjatywa ta była wogóle pierwszą w swym rodzaju na tutejszym terenie. Bibljofile, dotąd chodzący luzem, zrzeszyli się, i fakt ten przyniósł obfite owoce, przedewszystkiem w postaci 5-ciu już wydawnictw bibljofilskich, wydanych sumptem Towarzystwa. Prym wśród nich trzymają dwie rzeczy: „Walenty Fiałek“ T. Pietrykowskiego i „Wizerunki Kopernika“ prof. dr. Z. Batowskiego. Pierwsza była pomyślana jako hołd, złożony senjorowi bibljofilów pomorskich, sędziwemu drukarzowi W. Fiałkowi z Chełmna; druga to monumentalne dzieło ikonograficzne, świetny przyczynek do bogatej literatury kopernikowskiej.

Przewodniczy Towarzystwu od zarania jego istnienia dyr. Z. Mocarski, który jako zapalony miłośnik pięknych ksiąg umiał natchnąć grono toruńskie ideałami bibljofilskiemi, budząc ofiarność dla sprawy i patronując licznym wydawnictwom bibljofilskim, które poza oficjalnemi publikacjami Tow. ukazują się w tłoczniach toruńskich. Wznawia się więc z niemałym trudem piękne tradycje drukarstwa toruńskiego, którego obudzenie do nowej epoki rozkwitu będzie niewątpliwie zasługą miejscowego Tow. Bibljofilów.

M. S.

CZWARTKOWE WIECZORY W KONFRATERNI ARTYSTÓW W TORUNIU

Od chwili zdobycia murów ratuszowych przez Konfraternię i zadomowienia się braci artystycznej w ładnie urządzonych salach piwnicznych przybyło Toruniowi widowisko

i słuchowisko nielada. Co czwartek pod białem sklepieniem sędziwego gmachu, podpartem granitowemi przysadzistemi kolumnami, w otoczeniu białych ścian udekorowanych karykaturami i kilku pejzażami barwnemi, w sali jasnej przy długich stołach w wygodnych, stylowych fotelach i na ławach siedzą skupieni słuchacze. Zależnie od tematu odczytu, od programu muzycznego wieczora zmieniają się twarze przybywających gości.

Jedynie fratrzy i konfratrzy i miłośnicy zapaleni ożywionych dyskusyj są zawsze obecni na każdym wieczorze. Witają oni radośnie wszystkich, którym drogie jest żywe słowo i wymiana wspólnych myśli.

W ciągu miesiąca stycznia, ze względu na okres wakacyjny odbyły się tylko 3 wieczory czwartkowe.

Prof. W. Babinicz mówił o problemach społecznych w twórczości Stefana Żeromskiego. Sam temat, bardzo aktualny w dzisiejszych czasach wywołał długie debaty, rzucanie przykładów z różnych powieści, dociekanie ideologji Stefana Żeromskiego, wymianę krytyki i powracanie do dyskusyj, ogłaszanych przez poszczególne pisma literackie. Ze słów wszystkich mówców przebijała gorąca miłość i nawet wdzięczność dla Żeromskiego, jako dla wychowawcy Narodu i jednostek silnych, pełnych zapału i bohaterstwa.

Drugi czwartek był poświęcony dniu powszedniemu. Janina Ginett-Wojnarowiczowa mówiła o wnętrzu nowoczesnem, o mieszkaniu dzisiejszego człowieka. O mieszkaniu ściśle dostosowanem do jego potrzeb i możliwości, o mieszkaniu zbudowanem z wykorzystaniem zdobyczy technicznych, higjeny i urządzonem, w myśl zasad wygody i ekonomji czasu i nowych poglądów na estetykę wnętrza. Uczestnicy wieczoru mieli możność poznania tych pięknych, barwnych wnętrz przez oglądanie kilkudziesięciu miesięczników, rozłożonych na wszystkich stołach.

W wesołej, dowcipnej dyskusji, podczas omawiania wnętrz starego typu i przeciwstawiania nowoczesnemu — wnętrz przeładowanych, bawiono się świetnie, do późna wieczora

Odczyt Dr. L. Kuszelskiego p t „Z dziejów estetyki", wygłoszony na ostatnim wieczorze ściągnął nowe rzeszy słuchaczy Twarze zasłuchanych gości, cisza podczas prelekcji i specjalnie miły nastrój podczas dyskusji i wikłania się w tezach określenia piękna, sztuki i estetyki przez poszczególnych mówców, świadczyły, że dziedzina ta jest bliska każdemu i że każdy na swój sposób reaguje na piękno i ma inne wymagania od sztuki i od estetyki. Swobodna wymiana myśli i różnorodny sposób podejścia do tematu tak złożonego dały okazję do poważnego zastanowienia się, czem są dla nas te zagadnienia Na wszystkich wymienionych wieczorach przewodniczył Majster inż. L. Jarosławski.

Na wieczorze w dniu 5 lutego wystąpił z odczytem poseł p. Antoni Langer zaproszony z Bydgoszczy z Rady Artystyczno-Kulturalnej, z którą Konfraternia Artystów nawiązała kontakt. Prelegent mówił o znamiennych cechach kultury ludowej. Mówił żywo ze swadą właściwą dobremu mówcy, posługując się umiejętnie przysłowiem i wierszem — pieśnią ludową.

Scharakteryzował szczegółowo cechy naszego człowieka wsi, akcentując mocno wpływ przyrody na ukształtowanie jego psychiki, poglądów i charakteru. Mówiąc o twórczości podkreślił znaczenie kultu święta w życiu chłopa, wskazując na pierwiastki religijne w poezji ludowej a w obrzędach — na dawne zwyczaje pogańskie.

Ponieważ prelegent w swym odczycie pominął tendencyjnie ujemne cechy ludu, omawiano je w dyskusji żywo, jako czynniki hamujące kulturę. Zabrano się nawet do pomniejszania zasług chłopa w twórczości jego przez analizę dróg rozwojowych sztuki ludowej i wpływów obcych na tę sztukę.

Dzięki wszechstronnej dyskusji i pogawędkom nieoficjalnym przy herbatce podczas przerwy, temat rozgryziono dobrze i ze smakiem.

Do tematów poświęconych estetyce, pięknu i sztuce powrócono w dniu 13. II.

p. dr. Kusztelski wygłosił drugi odczyt z cyklu: „Z dziejów estestyki“. Tym razem prelegent mówił o pięknie objektywnem, o pięknie natury, odczytywanym emocjonalnie w przeciwstawieniu do dzieł sztuki, które aby odczuć, trzeba rozumieć.

To też dla doznania wrażeń estetycznych w tej dziedzinie trzeba szkolić swój artystyczny zmysł i smak oraz rozumieć, co artysta chciał wypowiedzieć w swem dziele sztuki. Zdaniem prelegenta stałe obcowanie z dziełami sztuki jest konieczne dla powstania doznań i wrażeń estetycznych.

Przy takim postawieniu kwestji powstała rzecz oczywista dyskusja, broniąca dyletanta-obserwatora, miłośnika sztuki i gorącego entuzjasty.

Dwa następne wieczory czwartkowe w m-cu lutym poświęcone były muzyce.

Organizacją ich zajęło się Koło Muzyczne Konfraterni.

W dniu 5. III. odczyt o Hiszpanji wygłosił p. sędzia Pietrykowski. Prelegent mówił ciekawie o pobożności Hiszpanów, o sektach religijnych, tkwiących mocno w średniowieczu, o ponurych procesjach czarno odzianych postaci. Kontrast stanowi natomiast tłum kościelny, pogodny, uśmiechnięty, interesujący się żywo wszelką paradą kościelną, procejsami świątecznemi, mający ogromny kult i umiłowanie do Matki Boskiej. Odczyt był urozmaicony przeglądem ilustrowanych wydawnictw, poświęconych Hiszpanji i pism codziennych, odzwierciadlających nastroje religijne ludności tego kraju.

W dyskusji poruszano liczne cechy Hiszpanji i Hiszpanów. P. prof. Gros przedstawił swój pogląd na Hiszpanję przez pryzmat malarstwa, tak dla niej charakterystycznego. P. Marjan Sydow mówił o różnicach dzielnicowych tego kraju, o sympatjach i antypatjach do poszczególnych narodów europejskich, a na zakończenie odczytał fragment artykułu dla zapoznania zebranych z dźwiękiem mowy hiszpańskiej.

W dniu 12. III. dr. Kusztelski wygłosił ostatni odczyt z cyklu: Z dziejów estetyki p. tyt. „Fasady domów — próba analizy estetycznej“.

Był to właściwie wykład o fizologji architektury.

Na całym szeregu ciekawych przykładów rzucanych na ekran przeprowadził prelegent wnikliwą analizę poruszanych spraw. Zwłaszcza interesującem było porównanie stylów: klasycznego i gotyku. Klasycyzm to uwypuklenie konstrukcji. Patrząc na łuk czy kolumnę widzimy układ kamieni i grę sił, mamy pełnię poczucia pewności budowli i każdy widz wie jak została ona zbudowana. Gotyk jest przeciwstawieniem tego konstruktywizmu. Fasady budowli gotyckich zaciemniają i możliwie ukrywają konstrukcję.

J. G. W.

REDAGUJE: KOŁO LITERACKIE KONFRATERNI ARTYSTÓW W TORUNIU.

SKŁAD REDAKCJI: JÓZEF BIENIASZ, ZOFJA BOGUSŁAWSKA, WIKTOR JAGALSKI, ZYGMUNT MOCARSKI, TADEUSZ PIETRYKOWSKI.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: MARJAN SYDOW — TORUŃ, RYBAKI NR. 46. m. 6

WYDAWCA: ZAKŁAD GRAFICZNY JANA KAROLCZAKA — TORUŃ, UL. MOSTOWA 6.

Nr. 1,

SPIS RZECZY